

STANISŁAW KOSIOROWSKI

POWSTAŃCZA BITWA

W setną rocznicę powstania styczniowego warto przypomnieć o udziale w walkach powstańczych ludności polskiej b. zaboru austriackiego, a w szczególności Galicji wschodniej.

Tereny wschodniej Galicji przylegające do obszarów Guberni Lubelskiej zaboru carskiego, miały duże znaczenie organizacyjne i rolę do odegrania, tym bardziej, że powstanie ograniczyło się wyłącznie do obszarów zaboru carskiego. A więc dopływ sił powstańczych amunicji, broni i zaopatrzenia prowadził w znacznym stopniu przez wymienione tereny.

stańców galicyjskich mianował gen. Antoniego Jeziorańskiego naczelnym wodzem powstańczych sił galicyjskich. Z jego to rozkazu ponownie formuje rozbitków Czachowskiego kpt. Wiktor Wiśniewski, doprowadzając rozsypanych powstańców do punktu zbornego w lasach żołyńskich, w których inny oddział formował już kpt. Kucza (oficer wojsk tureckich).

W dniu 24 kwietnia gen. Jeziorański w towarzystwie gen. Smiechowskiego i gen. Waligórskiego przybył do oddziału w Żurawiczkach i po sformowaniu sztabu oraz oddziału, w którym oprócz Polaków można było spotkać Węgrów, Włochów, Francuzów, Niemców i Rosjan, wyruszył z lasów żołyńskich w dniu 26 kwietnia, posuwając się ostrożnie wzdłuż granicy, by uniknąć spotkania z Austriakami.

Wskutek kluczenia po lasach (gdyż przysłani przez jakiś dwór przewodnicy niezbyt dobrze znali teren), przekroczenia granicy nie osiągnięto w planowanym terminie. Warto przy tym podkreślić, że według opowiadania ludności wymarsz za kordon nastąpił z majątku Ruda Różaniecka (pow. Lubaczów) przy udziale wielu mieszkańców ziemi lubaczowskiej bądź to jako powstańców, bądź to jako woźniców powstańczych podwódt. Byli to przeważnie młodzi chłopcy wiejscy i mieszkańcy miasteczek. W dniu 28 kwietnia powstańcy przekroczyli granicę, kierując się do Kulna, po mającą się tam znajdować amunicję zapowiadaną przez władze powstańcze Galicji.

Lecz zapowiadanej amunicji nie znaleziono. To zmusiło gen. Jeziorańskiego do trzymania się w pobliżu granicy Galicji w nadziei o-
trzymania naboju.

Wracający spod Kulna oddział Jeziorańskiego zaatakowany został przez wojska carskie pod Hutą Różaniecką. Atak odparto, lecz odtąd dniem i nocą oddział nekany jest utarczками. Z genialną zręcznością wymyka się Jeziorański wojskom carskim, przechodząc w pobliżu wsi Borowa przez Tepilę.

W dniu 30 kwietnia wszedł z oddziałem w lasy Kobylanki. Wkrótce i tu nadciągnął nieprzyjacielski oddział, lecz tym razem obeszło się bez walki, a gen. Jeziorański przesunął się dalej w las o dwie godziny marszu i tu w pasie przygranicznym stanął warownym obozem.

Pułkownik Miednikow sprawujący władzę naczelnika wojennego nad przylegającą do terytorium austriackiego częścią Guberni Lubelskiej wysłał przeciwko powstańcom polskim ekspedycję pod dowództwem kpt. Sternberga w sile 4 komp. piechoty, szwadronu ułanów, sotni kozaków i dwóch dział. 1 maja o godzinie 6 rano zaciekle zaatakowano obóz powstańców. Bój był ciężki i krwawy. Poległo w nim 24 powstańców i wielu atakujących. Podczas walki na stronę powstańców przeszło 25 żołnierzy carskich z oficerem na czele. Napastników odparto i przystąpiono do budowy dalszych umocnień i zabezpieczeń na przypuszczalnych kierunkach natarcia, w tym też i od strony austriackiej, gdyż gen. Jeziorański przewidział atak i z tej strony. Po walce do obozu licznie ścignęła galicyjska szlachta: Zarzycey z Chotyłubia, Brunicy z Lublińca i inni, a za nimi wozy z prowiantem dla powstańców. Do obozu nadciągnęły dwa konne oddziały powstańcze w sile 85 ułanów. Wysłany przez gen. Jeziorańskiego oficer, by połączyć będący w pobliżu oddział Czerwińskiego, przywiózł do obozu ponure wieści o wyprawie samego płk. Miednikowa na czele potężnej armii. Istotnie, Miednikow 6 maja napadł na obóz powstańczy w lasach Kobylanki, położonych na terenie obecnego po-

wiatu lubaczowskiego (wówczas powiat Cieszanów, Nadleśnictwo Państwowe Ruda Różaniecka) starając się za wszelką cenę osiągnąć nad powstańcami zwycięstwo. Doświadczony wódz gen. Jeziorański, pilnie śledzący przebieg walki, wspierał odwodowymi kompaniami załamujące się odcinki walki, paraliżując w ten sposób sukcesy płk. Miednikowa.

Nie osiągnąwszy zwycięstwa płk Miednikow za cichym przyzwoleniem Austriaków obszedł powstańców doborowymi strzelcami fińskimi poprzez granicę i natarł od tyłu, lecz i tu napotkał zorganizowany i zacięty opór saperów — zasieki przechodziły z rąk do rąk, walka toczyła się ze zmiennym szczęściem. W decydującym momencie załamania się obrony powstańczej, ukryte dwie kompanie odwodowe mjr. Dąbcańskiego z rozkazu Jeziorańskiego wyparły wdzierających się nieprzyjaciół i zadały im ostateczną klęskę — zapędzając wroga na bezdenne błota.

W bitwie tej brał m. in. udział chłop, aktywny działacz powstańczy w Galicji, dowódca oddziału, powstaniec ze wsi Niemstów, o nazwisku Sitarz, Ranny w boju pod Kobylanką długo ukrywał się u chłopów i w okolicznych lasach. Tu walczył też ppor. Antoni Załuski z Lubaczowa, który zmarł w 1932 roku. Na podkreślenie zasługuje to, że w bitwie pod Kobylanką poległ niemal wszyscy dowódcy kompanii, a wśród nich: kpt. Kazaniecki, kpt. K. Tyszkiewicz, kpt. Lampke i wielu innych. Zwycięski wódz powstańców pogrzebał poległych swoich i nieprzyjaciół z honorami wojskowymi.

Miejsce w lesie pod Kobylanką jest dla wschodnich terenów b. Galicji zbiorowym wspólnym grobem powstańczym. Na cmentarzu w Cieszanowie znajduje się wspólna mogiła powstańców, którzy zmarli z ran w szpitalu powstańczym znajdującym się w tym miejscu. Powstańcze kurhanie rozsiane są w lubaczowskim powiecie szeroko, znajdują się w Narolu, Oleszycach, Ułazowie i Lublińcu Starym.

E. ZOŁOWSKI

Kompozycja

twarze przekute w kamienie
ploty schowane w pokrzywach
tęcza sypiąca się deszczem
— syntezą barw w rynny spływa

i oddech świtu w poduszkach
przez palce cieni lejący
z których dzień wielki wyrasta
nad bramą zorzy niktącej

próba każdego powrotu
wołanie do głów kamieni
ugięcie kolan nad chlebem
— przyznanie się znów do winy

do dłoni zamkniętych w fiolecie
do pustych klamek na progu
do plotu w sęczących pokrzywach
do dojrzewania głogu

Leśny pejzaż

płynie szeroką zielenią
farbą żywicy dojrzewa
w lejących szyszkach ku ziemi
wiatr złote nuty otwiera

w nich słyszę skrzypce paproci
potoku pieśń fioletową
i dębu liście klaszczące
— pni klawiaturę brązową

i słucham tego pejzażu
w dotyku światła i cieni
w broszach z mosiężnej kory
w zapachu mchu żółtej ziemi

zgubiony w ciszy południa
w pionowych liniach dumania
idę posłuchać wytchnienia
i muszel szyszek spadania



Powstaniec Wawrzyniec Okrajcy, chłop. Polegił w powstaniu. CAF

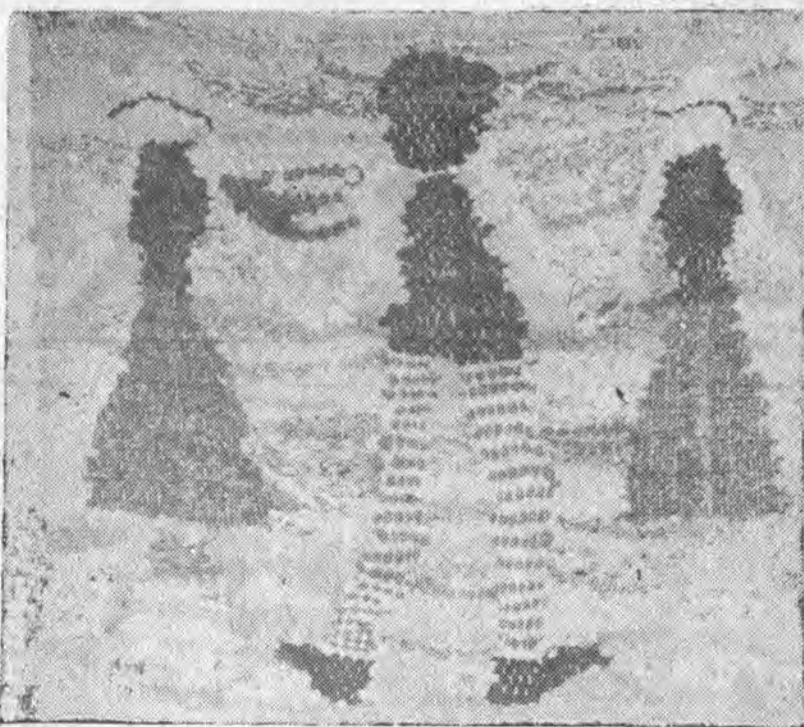
Wkrótce po wybuchu powstania styczniowego na terenie wschodniej Galicji, pojawił się oficer rosyjskiej służby granicznej kpt. S. Nikiforow, należący najprawdopodobniej do rewolucyjnej organizacji oficerów rosyjskich, kierowanej przez Andrzeja Potiebnie. Kpt. Nikiforow, działając na terenie Galicji przybył do Lwowa w celu nawiązania kontaktu z kierownictwem powstańczym, gdzie został bardzo niechętnie przyjęty przez hr. Golejowskiego i hr. Ziemiałkowskiego. Na ich interwencję gen. Wysocki odbiera Nikiforowowi nominację Rządu Narodowego i wciela go do oddziałów płk. Leona Czachowskiego, powstałych w wielu punktach ziemi rzeszowskiej. Ich zadaniem było wkroczyć do Królestwa i tam rozniecić płomień walk powstańczych. Płk Czachowski na polecenie Rządu Tymczasowego Narodowego w dniu 15 marca 1863 r. przekracza granicę kordonu carskiego i już w dniu 20 marca zmuszony jest stoczyć zwycięską bitwę pod wsią Potok, w której kpt. Nikiforow odznacza się wielkim męstwem, zimną krwią i oficerską rozumą. Mimo że nieprzyjaciół ponosił w tej walce porażkę, następnego dnia, 21 marca, Czachowski toczy ciężką walkę pod Ciosmami, w której zostaje jego oddział rozbit na dwie części. Z większą częścią płk Czachowski cofa się na teren zaboru austriackiego, gdzie zostaje przez wojska austriackie rozbrojony. Kpt. Nikiforow na czele mniejszej grupy rozbitków przedziera się na północ do oddziału „Lelewela” — Marcina Borelowskiego (z pochodzenia rzeszowianin), oddając tam powstaniu duże usługi.

Po rozbitciu oddziału Czachowskiego wielu jego powstańców ukrywało się po wsiach, a przynależnie było przynajmniej, gdyż z wielkim trudem zdobyty ekwipunek powstańczy przepaść. W tej sytuacji Rząd Narodowy, pragnąc podtrzymać swój plan użycia pow-



Przewodnik tatrzański

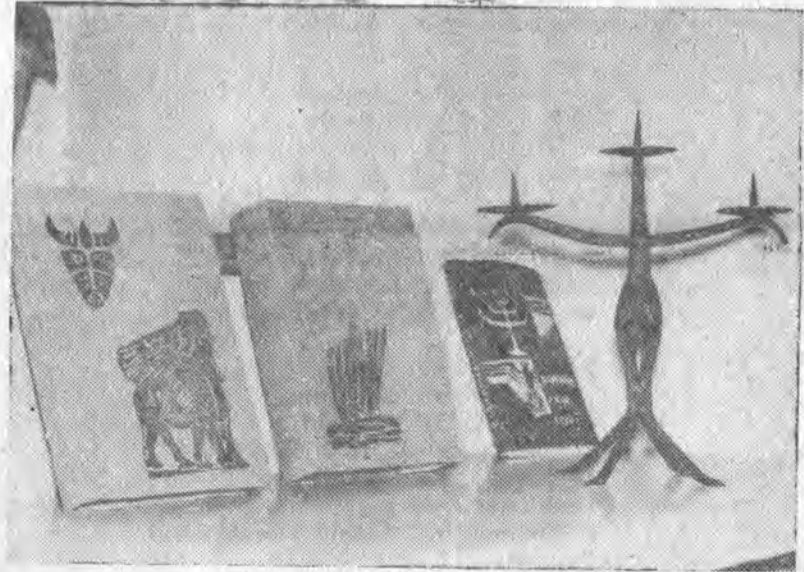
Fot.: J. Lięza



Wystawa prac uczniów szkół plastycznych

31 stycznia w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie otwarta została wystawa prac uczniów naszych szkół plastycznych: Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu i Państwowego Liceum Techniki Plastycznych w Sędziszowie. Znalazły się na niej prace z zakresu rysunku, malarstwa, rzeźby, grafiki użytkowej, fotografii, kowalstwa artystycznego i techniki włókienniczych.

Na zdjęciach: eksponaty wystawowe.



Czy możliwa jest wymiana myśli pomiędzy ideologią marksistowską a ideologią chrześcijańską? Istnieją przecież zasadnicze różnice między marksistowską a chrześcijańską wizją świata, w poglądach na sens i celowość ludzkiego życia, inne jest zupełnie uzasadnienie norm etyki świeckiej i etyki chrześcijańskiej oraz, co chyba najważniejsze, różne poglądy społeczne reprezentuje oficjalna myśl chrześcijańska i marksizm. Wielowiekowa praktyka historyczna wskazuje na niezmiennie zachowawczą — żeby nie powiedzieć reakcyjną — rolę Kościoła w procesach społecznych i w konkretnych działaniach politycznych. Jaka jest więc płaszczyzna i szansa dialogu?

Przed wszystkim trzeba zdać sobie sprawę, że dialogów — rozwijających się od jakiegoś czasu — obejmuje nie cały katolicyzm ze wszystkimi jego współczesnymi występującymi postawami: integrystyczną, neointegrystyczną i tzw. otwartą — lecz wyłącznie postawę otwartą, charakteryzującą się skłonnością do wyciągania wniosków z doświadczeń nie tylko chrześcijaństwa, lecz również nauki świeckiej, a także do brania pod uwagę wniosków wypływających ze świeckich kierunków ideologicznych. Przedstawiciele postawy otwartej zdają sobie sprawę z zapóźnienia chrześcijaństwa w stosunku do postępującej szybko naprzód cywilizacji naukowo-technicznej oraz właściwych naszemu wiekowi przemian społecznych. Wielu katolików reprezentujących postawę otwartą nurtuje myśl o konieczności „wpisania katolicyzmu w komunizm”, podobnie jak ongiś katolicyzm „wpisał się” w struktury feudalizmu, a następnie kapitalizmu. Ich rozumowanie jest proste: przyszłość należy do socjalizmu, który wcześniej czy później, takimi czy innymi metodami doprowadzi do zniszczenia struktur kapitalistycznych i zastąpienia ich strukturami socjalistycznymi; jeżeli więc chrześcijaństwo nie chce znaleźć się poza nawiasem społeczeństwa przyszłości musi ono znaleźć takie formy własnego istnienia, które nie tylko umożliwiłyby jego funkcjonowanie w społeczeństwach socjalistycznych, lecz pozwoliły również przekazać tym społeczeństwom pewne wartości kultury, etyki i filozofii, pielegnowane dotąd przez chrześcijaństwo.

Katolicka postawa otwarta przeciwstawia się zamykaniu chrześcijaństwa w dotychczasowych schematach myślenia i działania, jest to postawa antyintegrystyczna, przeciwna ingerencji Kościoła w sprawy polityczne i społeczne, przeciwna również „czynieniu z komunizmu straszaka, przedstawianiu go jako „sily niszcycielskiej”. Postawa otwarta to jednocześnie akceptacja współczesnej cywilizacji. W najbardziej odważnych sformułowaniach cywilizacja ta przedstawiana jest jako szczyt, po którym ludzkość wspi-

na się na wyższy poziom nie tylko materialnego, ale również duchowego rozwoju i co za tym idzie — „zbliza się do Boga”.

Marksści ze swej strony coraz częściej wypowiadają pogląd, że chrześcijaństwo będzie dla marksizmu jeszcze długo głównym partnerem ideologicznym dyskusji i sporów. Stąd wniosek, że należy je traktować jako czynnik względnie trwały, a jednocześnie zawierający niewątpliwie pewne wartości, które mogą być z powodzeniem wykorzystywane na korzyść powstających społeczeństw socjalistycznych. Marksści widzą oczywiście jasno wszystkie zasadnicze różnice filozoficzne przekonywanie się o tym czy do przekonania, że w pewnych konkretnych przypadkach dialog między myślą chrześcijańską a myślą marksistowską może doprowadzić

MOŻLIWOŚCI I PERSPEKTYWY DIALOGU

do korzystnych efektów społecznych.

Jest rzeczą oczywistą, że wzajemne przekonywanie się o tym, czy Bóg istnieje, czy nie istnieje, nie może doprowadzić do niczego pozytywnego. Na pewno też nie na wiele się przyda dyskusja nad zaziemskim czy też wyłączeniem świeckim, ludzkim uzasadnieniem norm etyki indywidualnej i społecznej. I nie na takiej płaszczyźnie dyktując doszły obie strony do postulatu współpracy między humanizmem socjalistycznym i humanizmem chrześcijańskim. Oto istnieją w naszym życiu społecznym pewne praktyczne problemy, które interesują wszystkich obywateli, bez względu na wyznawany przez nich pogląd na świat. Np. warunki i etyka życia rodzinnego, stosunek obywateli do własności społecznej, do pracy, walka o możliwie korzystną stabilizację stosunków społecznych nowego, socjalistycznego typu, wreszcie wspólna dla obu humanizmów walka z antyhumanistycznymi ideologiami kolonializmu i neofaszystów, a także walka o pokój na świecie.

W tych dziedzinach na pewno istnieje możliwość daleko idącej współpracy chrześcijan i marksistów i obie strony możliwość tę dostrzegają i rozumieją. Sens dialogu sprowadza się do ustalenia teoretycznej płaszczyzny i praktycznych wskazówek wspólnego działania w tym konkretnym zakresie. Jednakże katolicyzm, to nie tylko

grupy postępowych intelektualistów, którzy akceptują w zasadzie kierunek przemian społecznych i cywilizacyjnych w naszym kraju i w całym świecie. Katolicyzm, to również Kościół oficjalny, w którym nurtują rozmaite tendencje. Wprawdzie II Sobór Watykański wykazał, że „skrzydło postępowe” zdobyło sobie w Kościele stosunkowo silną pozycję, ale przecież trzeba mieć oczy otwarte również na bezpardonową walkę, jaką prowadzi w dalszym ciągu przedstawiciele kościelnej prawicy z wszelkimi przejawami postępu. Tu nie może więc być mowy o dialogu, lecz wyłącznie o konsekwentnej walce ideologicznej również ze strony marksistów, a walka ta nie ustanie dopóki działań będą w łonie Kościoła jawni i skryci zwolennicy konserwatywnego społecznego i politycznego, apologeci kapitalizmu i kolonializmu, obrońcy „starego porządku” gotowi uzasadnić etyką chrześcijańską potrzebę wojny atomowej, wymierzzonej przeciwko siłom postępu.

W konkretnych polskich warunkach, w ramach dialogu dwóch humanizmów, padają między innymi wypowiedzi, wskazujące na tendencje wiązania z tym dialogiem pewnych postulatów natury politycznej, jak np. uznanie katolicyzmu w Polsce jako siły politycznej, współbudującej nowe społeczeństwo. Trzeba sobie od razu jasno powiedzieć, że są to postulaty nierealne, a przesłanki, na których je oparto — błędne. Katolicy w Polsce nie stanowią odrębnej grupy politycznej, nie istnieją też jakieś określone poglądy polityczne wynikające z katolickiej postawy światopoglądowej. Przeciwnie, wewnątrz katolickiej grupy wyznaniowej da się zaobserwować cały wachlarz różnic, często przeciwstawnych poglądów politycznych — od skrajnie zachowawczych, konserwatywnych do skrajnie postępowych, wypowiedzianych przez katolików, którzy uważają się jednocześnie za komunistów. Istnieje natomiast z pewnością „katolicka formacja kulturalna”, katolicka etyka, która — właściwie rozumiana — kulturowo również pewne wartości ogólnoludzkie. Spodziewać się przeto można współpracy marksistów i katolików przede wszystkim w dziedzinie kulturalnej i wychowawczo-etycznej.

Dialog humanizmów socjalistycznego i chrześcijańskiego nie może — co jest oczywiste — przynieść w efekcie odsiańnięcia współczesnego państwa polskiego od zamierzeń całkowitego unowocześnienia stosunków społecznych, które polega m. in. na ścisłym i konsekwentnym rozdzieleniu Państwa i Kościoła, ugruntowaniu świeckości szkoły, zapewnieniu pełnej tolerancji a likwidowaniu wszelkich objawów wyznaniowego fanatyzmu. I tylko tak pojmowany dialog może przynieść właściwe efekty i może odegrać korzystną rolę społeczną.

TADEUSZ PŁUZAŃSKI

OLGIERD TERLECKI

(II)

DNO STATKU

Rzedniejące drzewa otworzyły widok na łąkę, pachnącą ostro świeżo skoszoną trawą. W niskich sadach białe ściany domów. Dachówka na nich jeszcze nie pociemniała. Na wioskowej ulicy, pociętej od rowu do rowu głębokimi koleinami prawie nie widziało się mieszkańców, większość pochłonięta zapewne targ w miasteczku, innych zaś zatrudniły sianokosy. Najbardziej niepozorny domek, stary, zmurzwały, jedyn z nielicznych, które przetrzymały tu wojnę, tułił nie bieloną przy budówce, której drzwi zbite z tarcia trzymała wielka, zardzewiała klódka. Monika wyszła z torebki klucza i otworzyła kłódkę. Z ciemnego wnętrza zaleciało stęchłą. Nie wielkie okienko nie przepuszczało zbyt wiele światła. Z sufitu zwisała nie osłonięta żarówka. Żelazny piecyk świadczył, że izba ta służyła dawniej za drewnię lub pomieszczenie dla drobiu i mogła się wobec tego obyć bez normalnego pieca z kamieni. Ściany świeżo pobielono, szczerbiatą podłogę wyłatano listwami jasnej sośniny i w ogóle znać tu było ślady przeprowadzonej niedawno adaptacji. Prosty stolik otaczało kilka równie prostych krzeseł i stołków. Pod ścianą naprzeciw drzwi stała niewielka szafa. I to właśnie była biblioteka Moniki.

Krzysztof starał się nie okazać rozczarowania i wprost przynębnienia, jakim przejęło go to wnętrze i ze współczuciem przyglądał się Monice, która innym, niedużym kluczem otworzyła szafę, wyjęła długie, drewniane pudełko z jakimiś kartoni-

kami i wzięła się do pilnego ich studiowania. Otwarta szafa prezentowała swe bogactwo, złożone może z dwustu książek obłożonych szarym papierem pakunkowym. Nie spodziewał się oczywiście znaleźć w tej wiosce jakiegoś wytwornego pawilonu, pełnego regałów z lekkiego metalu, z ruchomymi półkami i opasłymi katalogami, ale nie spodziewał się też podobnego ubóstwa. Praca Moniki wydała mu się beznadziejna i beznadziejny wydawał się los kobiety, zajętej tak biednymi przedsięwzięciami.

Monika przekładała uważnie żółtawe kartoniki i czasem sprawdzała coś w szafie. Te niepojęte czynności nie zajęły wiele czasu. Potem zapisała coś w notesie, schowała go do torebki i popatrzyła z uśmiechem na Krzysztofa.

— A więc wiesz już, jak wygląda wielka biblioteka, i widzę, że nie jesteś zachwycony.

— Nie jestem, szczerze mówiąc. Ale, Moniko, mało tu chyba powodów do zachwytu.

— Mało, to prawda.

— I żal mi ciebie, Moniko.

Jego zdumienie było tak żywiłowe, że nie mógł wpaść w szerokość tej reakcji. — Żal? Mnie? Ależ dlaczego?

Bezradnie powiódł rękami, ogarniając tym gestem i żelazny piecyk, i małe okienko, i przede wszystkim biedną szafę. Ludzie w ubóstwie często nie pojmują własnego ubóstwa. Ale Monika nie mogła nie pojmować.

— To jest wszystko małe, Moniko. Strasznie małe. Pewnie masz z tym wiele kłopotów, bo takie śmieszne małe rzeczy strasznie zjadają czas i wysiłek. Nie wiedziałem, że właśnie ty zajmujesz się takimi rzeczami.

— Ktoś się nimi powinien zajmować.

— Ale dlaczego właśnie ty?

— A dlaczego ty się zajmujesz leżeniem ludzi?

Zestawienie wydało mu się zabawne. — Ponieważ lubię ten zawód. Zawsze mi się podobał.

— A mnie się podoba zawód bibliotekarza. Jest to zawód, jak każdy inny i ani trochę mniej szlachetny, choć przyznaję, że wiele ludzi nie widzi w nim cech zawodu. Szczególnie na wsi, gdzie często lekarza, agronoma czy nauczyciela uważa się za próżniaka, udzielającego dziwacznych porad i żądającego mycia rąk przed jedzeniem, wódcę się po polach w tajemniczym celu, albo gadającego coś do dzieci przez kilka godzin dziennie i w dodatku biorącego za to próżniactwo państwowe pensje. Nie przypuszczałam, że możesz się zgadzać z takimi opiniami.

— Nie żartuj ze mnie, Moniko. Ale to, tutaj, czy to można uważać za bibliotekarstwo?

— Uważam, że właśnie to tutaj jest bardzo ważne i spróbuję ci wyjaśnić dlaczego tak uważam. W wielkich miastach są wielkie biblio-

teki, narodowe, uniwersyteckie i jakie kto chce. W każdym mieście powiatowym jest duża biblioteka powiatowa. W Lubaczowie kieruje nią nawet twoja koleżanka, Marysia Jagodzińska, która teraz po mężu nazywa się inaczej, a z którą chodzisz do gimnazjum, choć chyba o parę klas wyżej. W takiej bibliotece powiatowej mają kilka tysięcy tomów, encyklopedie, leksykony, słowniki, atlasy, i stamtąd zaopatruje się w książki małe biblioteki i punkty biblioteczne po wsiach. Poza tym każdy czytelnik może zażądać książki, której tam nie ma, i wtedy ściągają ją dla niego choćby z warszawskiej narodowej. Oczywiście niewielu jest czytelników, którzy potrzebują dla specjalnych celów, jakichś dzieł, szczególnie rzadkich. I oczywiście na wsi czytanie książek nie jest jeszcze potrzebą szczególnie rozpowszechnioną, i dopiero stąd, z tej marniej izby wskazuje się ludziom na istnienie takiej potrzeby i na jej pożyteczność. Wielkie biblioteki są dla ludzi, których nie trzeba zachęcać do czytania. Małe, najmniejsze uczą dopiero korzystania z książki. Nie jest to uczenie łatwe i masz rację, kiedy mówisz, że małe rzeczy sprawiają dużo kłopotu. Ale bez tej małej rzeczy nigdy by się ludzie na wsi nie oswoiili z książką, nigdy nie odczuwaliby jej braku i w ten sposób uznalibyśmy za wieczyście niezmienną tę sytuację, w której połowa narodu wpada w powrotny alfabetyzm natychmiast po ukończeniu szkoły, albo nawet jeśli nie wpada, jeśli zachowuje umiejętność podpisanie się, czy wydrukowania tytułu z gazety, to przecież tkwi w ciemności. Taką sytuację można oczywiście złożyć, ale przyznasz, że raczej nie w nowoczesnym społeczeństwie. A przecież chcemy nim być. Dlatego uważam, że od tych małych bibliotek i od

gozbiorków, choć nierzadko trudno je uruchamiać, choć nierzadko są źle zestawiane, zaczyna się bardzo ważna robota. I nie czuję się nią ponizona ani zubożona moralnie, choć mnóstwo ludzi w okolicy uważa mnie za próżniaczkę. Ja pracuję z ramienia biblioteki wojewódzkiej, zakładam takie punkty, uprawiam je w ruch, kontroluję, pomagam przetrzymać początki. Wypożyczaniem zajmuję się potem dziewczęta miejscowe, ledwie do tego przygotowane, często same dopiero osuwające się z książką. Wynagrodzenia mają bardzo niskie. Bywa, że zajmują się tym nauczyciele, ale nie na nich można to zwałować, mają przecież dosyć własnej pracy. Prawie zawsze są kłopoty z miejscową administracją. Siedzą w niej przecież ludzie, którzy owszem, uznają tę całą historię, ale uznają tylko dlatego, że pochodzi z państwowego rozporządzenia, i widzą w niej tylko dodatkową uciążliwość. Lokale dają najgorsze, w zimie nie dostarczają opału, skąpią każdego grosza na najdrobniejsze naprawy. Książka dla nich jest wciąż pańską fantazją, czytanie, uczenie się, studiowanie zajeciem dla dzieci i próżniaków. Rzecz jest nowa i tu, na dole, naprawdę trudna. Ale nie jest tak mała, ani tym bardziej śmieszna, jak na to czasem wyglądam.

— Nie chciałem cię urazić, Moniko. I pewnie jest tak, jak mówisz, choć szczerze mówiąc nie wiem, co o tym myśleć. Idea wyglądam okazała, tylko nie wiem, czy nie rozpraszanie środków, czy nie powinności skupiać ich raczej w wybranych miejscach, wykorzystywać podatniejszy grunt i tak dalej.

— Robimy to oczywiście. Wybieramy miejsca. Opieramy się o dawne, lokalne tradycje pracy oświatowej. A tu zobaczyles dno statku.

WARSZAWA – MOSKWA – TBILISI – SYMFEROPOL – LWOW

Niedostępny szczyt Suromi

(Wrażenia z podróży po ZSRR)

IV

PO ZIEMI...

„Kto chce poznać życie Gruzji, musi wstąpić na niedostępny szczyt Suromi, na który nawet orły rzadko wlatują”.

(ze starej przysłowia gruzińskiej)

Gdzie nam do Suromi? Sienkiewicz autorytatywnie zawyro-kował: Taki orzeł jak ty, to nawet przy otwartym oknie nie wyleci! Obejdzie się bez wzlotów. Będzie-my chodzić po ziemi.

— Te ziemie plądrowały wojska Tamerlana — Lebidze, nasz przy-godny gruziński przyjaciel zamilkł jak-by zadumał nad dwudziestopię-ciolecieczną historią Gruzji.

— Walczyliście również z turec-kimi i perskimi najeźdźcami — do-rzuciłem.

Obdarzył nas serdecznym uśmie-chem i kiwnął z uznaniem głową.

— Wasze zdrowie, przyjaciele!

Sięgnęliśmy po kieliszki świetno-ego gruzińskiego koniaku.

— Teraz rozumiecie tę naszą mi-łość! Piękne są tradycje walk wol-nościowych naszych narodów, o wielkiej i starej kulturze.

Szumiało mi już w głowie. Zaczę-łem przegryzać ostry w smaku, bia-ły, twardy ser, przypominający na-sze osczypki i poprosiłem kelnera o chleb. Chleb gruziński to cały po-emat. Są to właściwie białe placki pieczone na blasze i krojone jak ciasto. Bardzo nam ich brakowało po wyjeździe z Gruzji. Lebidze wstał od stolika, przez chwilę za-trzymał wzrok na osłonecznionej Rustaweli, po której toczył wozbra-ny strumień pojazdów, jak rwące nurty Kury.

— Piękny mamy dziś dzień. Chce-cie zobaczyć zamek Metecheski, re-zydencję królów gruzińskich?

Przystaliśmy skwapliwie.

PIĘKNE JEST ŻYCIE STARUSZKA...

Na bulwarze Rustaweli trudno przebrnąć przez ludzką ciżbę. Na chodnikach stoiska — nie z piero-ż-

kami, lecz z garderobą. Słaby punkt sympatycznych Gruzaków. W tym kraju ludowej legendy i wielkich tradycji kulturalnych, elegancki garnitur, skrojony według najnow-szych wymogów europejskiej mody, jest zjawiskiem tak powszechnym — ośmielę się stwierdzić — jak wiotkie, czarnobrowe Gruzinki.

Ośmieliłem się! Może to błąd, ale podobno tylko ludzie popełniają błę-dy. Nawet Sienkiewicz się nie us-trzegł... Mówi, że rozkołysała mu się artystyczna dusza i ryczy fał-szywie: „Szczęśliwe jest życie sta-ruszką... itd”. Na szczęście obezno-się bez „oczów czarnych”, bo nie lu-bię, jak ktoś staje się sentymental-ny.

Już parę godzin włóczyliśmy się po ulicach, aż zawędrowaliśmy do no-

EDMUND GAJEWSKI

woczesnej dzielnicy mieszkaniowej Tbilisi, którą dosłownie po gruziń-sku nazywa się „Placem Gry w Piłkę”. Dziś mieszka już tu 20 ty-sięcy ludzi. Wzdłuż cztero- i półki-lometrowej długości ulicy Komin-ternu wznoszą się 4- i 5-piętrowe bloki o lekkiej konstrukcji, szerokich oknach i balkonach. Aby się pokrzepić wdepnieszmy do kawiarenki. Przy stolikach przeważnie mężczyźni. Piją herbatę lub kawę, nie zdejmując z głowy kapeluszy ani modnych tu szerokich czapek w różnych kolorach. Co kraj, to obyczaj. I chyba dlatego kawę podają nam z cytryną (niezła — mo-żna spróbować!). Kosztujemy rów-nież miejscowego przysmaku — o-rzechów w stężonym soku grono-wym.

Sienkiewicz proponuje zwiedzenie cerkiewi. Nie protestuję. Cerkiew uroczą. Przed jednym z małych iko-nostasów, jak zorientowaliśmy się po chwili, odbywa się chrzest dzie-wczynki lat około 12. Oprócz popa o-becna są jeszcze cztery kobiety. Siadamy w ławce, aby popatrzeć na nieznaną nam ceremoniał, a tak bardzo bogaty w obrządku prawosławnym. Dziewczynka stoi na krześle i w rękę trzyma zapaloną świecę, podobnie towarzyszące jej kobiety, które stoją po jej bokach. Całym towarzystwem „dyryguje” pop. Na jego znak wszyscy odwracają się plecami do ikonostasu, aby znowu po chwili wrócić do sy-tuacji wyjściowej. Wreszcie pop obficie skrapia głowę dziewczynki,

— Potrzebne szczególnie tobie, sko-ro zostałeś tu z wyboru.

— Nie, Krzys. Najpierw zostałam z konieczności, bo nic innego nie mogłam zrobić w tym najcięższym okresie. Tu przecież miałam dom i trochę roboty przy nim, i ogród, który nas żywił. Dopiero potem zostałam z wyboru. Trzeba jednak dobrze dorosnąć, żeby móc odkryć w sobie przynależność do takiego miejsca. Wcześniej chętnie się z niego ucieka, i nieraz słusznie. Nie uciekałam, wszystko jedno dlaczego, z tchórzostwa, braku okazji czy niezdętych, a potem okazało się, że nie chcę już stąd odchodzić. I poszłam stąd chyba tylko za mężem, ponieważ wyobrażałam sobie, że tracę głowę dla człowieka, za którego wychodzi się za mąż i w jakimś stopniu rezygnuje się dla niego z siebie. Ale nie jestem pewna, czy w tym moim wyobrażeniu nie ma o-statku naiwności.

— Moniko, zapomniałam ci coś. Za-stanów się i odpowiedz szczerze.

— Pytaj. Nie widzę powodu, dla którego miałabym być z tobą nie-szczera.

— Moniko, dlaczego jesteś przy-wiązana do Cieszanowa?

— Och, Krzys, nie muszę się nad tym zastanawiać. Jestem przywią-zana, bo to moje miasteczko. Bo znam tu wszystkich. Bo odczuwam radość, kiedy tu wracam.

— Rozumiem. Ale jednak ominę-łś moje pytanie. Dlaczego odczu-wasz tę radość?

Poruszyła lekko ramionami i by-ła w tym geście niedużą, zakłopotaną dziewczynką, dążającą się na-człowieka, który ją doprowadził do zakłopotania. — Dlaczego odczuwam radość? Och, tego nie wiem. Odczu-wam, to wszystko.

— Powiem ci, Moniko, dlaczego odczuwasz radość.



Tbilisi — widok z góry św. Dawida

namaszcza jej oczy, uszy, a nawet stopy olejami.

Zdążyliśmy się już zorientować, że wszyscy patrzą na nas ze zgor-szeniem. Sienkiewicz szepce mi do ucha: — „zmiażdżymy, bo coś tu nie gra”.

I nie grało. W cerkwiach, w ław-kach siadają tylko kalecy.

BĄDZ TU MĄDRY

Nasz pożegnalny wieczór w Tbi-lisi. Kolacja po gruzińsku. Regio-nalną potrawę mięsna, bardzo pie-przną siekankę, zawiniętą w biały, cienki wysuszony ciasto, zapijamy doskonałym miejscowym winem

„Cynadali”. Sala jest prawie pełna, orkiestra gra również coś swojskie-go. Nikt jednak nie tańczy z tej prostej przyczyny, że na sali nie ma kobiet. Dlaczego? — należy zapy-tać Sienkiewicza, który przez dwa dni przeganiał mnie po muzeach. Albo się podziwia kunszt gruziń-skich mistrzów miniatury i meta-loplastyki, światło oraz kolor współczesnych twórców, albo zgłę-bia tajemki zwyczajów Gruzinek, a może Gruzaków?

Ostatni spacer po bulwarze. Ko-lorowy tłum, dużo młodych, roze-mnianych dziewcząt...

Niedostępny jest jednak szczyt Suromi. I bądź tu mądry.



„Wnętrze” na bulwarze Rustaweli

— O to chodzi, Moniko. Przykro mi widzieć ciebie na dnie statku.

— Proponowano mi pracę na po-klądzie. W Rzeszowie, w bibliotece wojewódzkiej. Namyslałam się po-ważnie nad tą propozycją. Miasto zawsze trochę lusi. W Cieszanowie żyjemy oddaleni od miasta nie tyl-ko kilometrami, ale i w czasie. Ale mam już dość lat, żeby znać swo-je upodobania. Bardzo lubię poje-chać do miasta i jakiś czas tam prze-bywać, ale być stale wolą u nas. Zastanawiałam się nawet, czy nie ma tu jakiejś bezwiednej prze-kory. Dawniej prowincjusze mieli mało szans poza swymi miasteczka-mi czy wsiami, więc siedzieli u sie-bie i często z nudów urozmaicali jakoś życie w swoich zaściankach. A teraz wszyscy mają szansę na mi-asteczko, przemysł ciągle ściąga ludzi, prawie każda wieś ma kilkoro mło-dzieży na różnych uniwersytetach, miasto po prostu nas wysysa z naj-zdolniejszych, którzy w większości nie wracają. Stąd często jadowizna i sennaść po miasteczkach. Ten ruch już się jakby przesila, wytwarza się równowaga, ale wciąż to jeszcze trwa, wciąż spotykam ludzi, szcze-gólnie młodych, którzy swą przysz-łość widzą tylko w mieście, jakby tu nie było dla nich szans ani pracy, i nieraz mnie to gniewa, bo niektó-rych pędzi stąd czysty snobizm, in-nych zaś złudzenie o jakimś łatwiej-szym tam życiu. Więc zastanawia-łam się, czy mnie dla odmiany nie trzyma tu jakiś antysnobizm, ale doszłam do wniosku, że jednak chy-ba nie o to chodzi. — Sięgnęła za siebie i wyjęła z szafy najgrubszy z tkwiących w niej tomów, prze-kartkowała i wskazała jakąś stroni-cę. — To jest P o l a E n c y k l o p e d i a M o s k w a, niedawno wydana, bardzo starannie opracowana, taki właściwie leksy-kon wiedzy o wszystkim do zmie-

szczenia w każdej szufladzie. Tu masz hasło CIESZANÓW, zajmuje dwa wiersze i w tych dwu wierszach są aż dwa błędy literowe. Je-steśmy już tak nikczemni, tak mar-ni, tak nieważni, że polska, porząd-na encyklopedia obchodzi się z na-mi jak z jakąś wioską w Afgani-stanie, albo i gorzej, bo na pewno przy wiosce afgańskiej sprawdzono by dokładnie, jak się nazywa prze-pływający przez nią potok i jak się pisze nazwa jej rejonowego miasta. Kiedyś był Cieszanów żywym mia-ścieczkiem, były urzędy, towarzystwa oświatowe, był duży handel, byli chętni ludzie, minęło tylko ćwierć wieku i zostało z tego wielkie pogo-rzelisko, tysiąc dwieście dusz i tro-chę już zbity wielka cisza. Słysza-łam o kontunkturalnych miastach gdzieś w Stanach, o miastach, które wybuchły przez bliskość jakiejś ko-paliny i które gasy jak zepsute za-rówki natychmiast po wyczerpaniu pokładu. Ale Cieszanów nie wy-buchł z gorączki złota i nie musi zni-kać po jej ustąpieniu. Niekoniecznie musi tu stać wielka fabryka z liczn-ą załogą. W końcu muszą zostać w kraju jakieś zaciszne miejsca bez przemysłu, a moc ludzi nie lubi szy-chu wielkich kurortów. Może być ładnym, spokojnym miasteczkiem, ponieważ takie miasteczka będą bar-dzo poszukiwane w kraju przemys-łowym. Powinno tu jednak zostać kilkoro ludzi, przywiązanych do te-go miejsca, żeby Cieszanów mógł się stać takim miasteczkiem. Znam pa-rę takich ludzi. Ale sprawa jest bardzo ciężka. Łatwiej odbudować Warszawę niż to miasteczko na ko-ńcu świata, nikomu w tej chwili nie potrzebne i opuszczone przez poło-wę mieszkańców. Lecz w końcu po-trzebne tym, którzy zostali, i bez względu na to, czy zostali z konie-cności czy z wyboru.

— Powiedz. Jestem naprawdę cie-kawa.

— Ponieważ w każdym kącie wi-dzisz tu swoje dzieciństwo i swoją dziewczęcość, i bez względu na złe lata jakąś swoją dziecianną beztroskę. Miasteczko spalone, ale przecież zo-stała moc elementów z tamtych, twoich czasów. Kształt drogi, ocala-łe domki, twój własny dom, drzewo rosnące od wieków, pejzaż okolicy. Rzeczy, które się nie zmieniały, któ-re są takie same, wprost te same jak dawniej. Spotykasz je codziennie i czujesz się przy nich taka sama, i ta sama jak dawniej. Ich niezmienn-y kształt pozwala wierzyć, że je-steśmy tacy sami. I tego nie doś-wiadacza się we wczesnej młodości, kiedy człowiek nie czuje, że się zmie-nia, i kiedy jest przekonany, że nig-dy się nie zmieni i nie zestarzeje. Doświadcza się tego później, i doś-wiadacza się tym mocniej, im dalej w lata. Wiem to po sobie, Moniko, i dlatego tak się tu czepiam każdego niezmiennego kształtu. Ale nie wie-działem, że można już w twoim wieku doświadczać tego uczucia. Je-steś o tyle młodsza.

— Nie jestem już tak bardzo mło-da, i zresztą pod wielu względami wszyscy jesteśmy o wiele starsi, niż by to wynikało z naszych metryk. W tym, co powiedziałeś, jest jakaś praw-da. Na pewno.

— Potrzebna energicznie głowa, jakby upewniając Krzysztofa o słusz-ności jego wywodu, i podrażnił go nagle ruch kasztanowych pukli, osu-wających się na czoło. — Ale nie jest to prawda pełna. Może inne je-szcze przyczyny przywiązały mnie do tego miejsca. Bo czasem przywią-żuje radość, zwyczajna radość po-spolitej egzystencji. Czyjaś spokoj-na egzystencja przerasta nas często pospolitością lecz taka egzystencja

może być samym szczęściem, choć nie mogą tego zrozumieć zawodowi uszczęśliwiacze ludzkości i fantaści, śmiertelnie zdruzzeni swoim otocze-niem. Ale czasem przywiązuje zazna-ne zło, i wtedy jest satysfakcja, że się je przetrzymało. I w końcu sama nie wiem, Krzys, i pewnie długo nie będę wiedzieć.

Wstawiła grubą tom na miejsce i zamknęła swój skarbon. W progu znaleźli się tuż przy sobie i Krzy-sztof, jak wtedy na stacji, czuł przez sekunde ciepło jej policzka. Monika zawałała się w prog, jak gdyby zapomniawszy o czymś zamierzala wrócić, i w tej krótkiej chwili mógł ją objąć i zatrzymać. I był mocno przekonany, że ona chce tego i na-to czeka. Ale nie wierzył swojemu przekonaniu, ponieważ zdawoło mu się, że w jakiś nieuchwytny, nie da-jący się określić sposób Monika róż-ni się od kobiet, które poznał w ży-ciu i bał się własnego doświadcze-nia. Nie był pewny, czy nie musi jej za to nie cierpieć. Była jak gdyby do kogoś podobna i naraz uświadomił sobie, że w jakiś sposób przypomina Piotra. Należało więc nie cierpieć i Piotra, albo raczej przede wszyst-kim Piotra. Nie dałoby się chyba ustalić, czy któraś z tych dwojga wpływała na drugie, czy też wyros-ła w swym podobieństwie niezależnie od siebie. Nie było też możliwe wyjaśnienie podobieństwa, jakie wi-dział pomiędzy sobą i Piotrem, po-dobieństwa dwojga ludzi, z których każdy na swoją modłę miał przede wszystkim ambicję być tym, kim jest i nikim więcej. I nie wiedział czy nie musi i za to nie cierpieć Piotra, jak nie cierpił się przede-ludzi podobnych do nas, a przede wszystkich takich, którzy nam umie-ją odkryć ograniczoną naszą ambicję.

OLGIERD TERLECKI

„REWOLUCJA KULTURALNA W WOŁOWINIE“

Rzec by się chciało, poprawiając tytuł utworu K. I. Gałczyńskiego, „Rewolucja kulturalna w Rzeszowie”. Na pewno w tej chwili jest sporo przesyła, gdyż nie chodzi mi o żadne wybitne zjawiska kulturalne, na miarę ogólnopolską, mogące wzbudzić zainteresowanie choćby „Przeglądu Kulturalnego”, lecz po prostu, aktorzy PPIE „Estrada” w Rzeszowie stworzyli ku uciesze publiczności i własnej „Rzeszowski Kabaret Noworoczny”. Szperając pamięcią w historii natrafia się na próby kabaretu rzeszowskiego: „Pineska”, „Zapalka”, „Koliber”; były to jednak tylko próby chybione bądź to z powodu błędnego zrozumienia tego rodzaju teatryku, bądź też jak np. „Koliber”, z niewłaściwego zażyczenia się w „pijalni” którejś tam kategorii, w „Jutrzence”.

Tym razem jest inaczej. Korzystając z gościnności Zakładowego Domu Kultury WSK w Rzeszowie, który oddał do dyspozycji „Estrady” estetycznie urządzonej salę z maleńką estradą, z kawiarnianymi stolikami i miejscem do tańca, twórca kabaretu J. Krzywicki, dał widowisko wesołe i swobodne, urozmaicone tańcami i czarną kawą.

Zabawa udała się bardzo dobrze. Chwilami odnosiłem wrażenie zatracenia się różnicy między aktorami a widownią. Zapomniałem kto kogo dał. Trzy razy odwiedziłem „Rzeszowski Kabaret Noworoczny”, bawili się wszyscy: lekarze, dziennikarze, prawnicy, nauczyciele, działacze, aktorzy, itd. Przepraszam, trafiło się kilka osób pozujących na „chodzącą mądrość”, które wielce były zgorżone śmiechem pozostałych „zabawowiczów”. Przypuszczam, iż pozowanie na mądrość wynikało z niezrozumienia sprawy rzeszowskiego dnia powszedniego, z nieznaomości znakomitej „Zielonej Gęsi” K. I. Gałczyńskiego i z ponuractwa.

Na program kabaretu złożyły się: wspomniana „Zielona Gęś”, Rzeszowska szopka satyryczna i duet muzyczny. Dowcip, satyra i liryka K. I. Gałczyńskiego znalazły w aktorach rzeszowskiej „Estrady” dobrych wykonawców. Upraszczając różnicę między aktorem estrady i dramatu do wzmiarki, że w pierwszym wypadku wchodzi na scenę co parę minut jako inna, różna od poprzedniej osoba, w drugim pokazuje się tylko jedna osoba w określonych sytuacjach dramatycznych, ograniczyć się do zwrócenia uwagi na to, co uważam za dobre, gdyż trudno mieć pretensje do aktora za jedno czy dwa potknięcia, jeżeli bierze udział w kilkunastu innych różnych punktach programu, tym bardziej że w podsumowaniu zacierają się one i wylatują z pamięci.

Na pierwszy plan, według reakcji publiczności wybijają się dwa monologi: „W sprawie monologu” wyk. I. Strzelecka i „Dorośli jak dzieci” wyk. A. Marecka. Moim zdaniem nie ustępują im scenki: „Zarłocznia Ewa”, wyk. A. Marecka, Z. Kozień, A. Tatrzanowski, „Osiół i cień” wyk. Z. Kozień, J. Statkiewicz, A. Tatrzanowski, „Biurokrata” wyk. Z. Kozień, J. Statkiewicz i „Koncert na prowincji” w wyk. całego zespołu. Najbardziej chyba wykonana jest scenka „Dzieciół i dziewczynka”; odniosłem wrażenie, że sam wykonawca jej nie rozumie. I. Krzywicki mimo dużego wkładu w przygotowanie widowiska ograniczył się do łączenia poszczególnych scenek i skromnego monologu „Ostrożność”, ciekawie zainscenizowanego. Osobną zaletą, bardzo pomagającą aktorom, są kostiumy S. Gawronskiej.

Clou programu, to jednak „Rzeszowska szopka satyryczna” z przewijającymi się osobistościami województwa i samego miasta Rzeszowa. Przez ostrożność nie podaje postaci szopki, ponieważ nie chcę się narazić. W każdym razie zabawa osiągnęła swój zenit. A zaczęło się uosobieniem Kultury (wyk. M. Beryl)...

... Dalej nie piszę. Boję się! Dużo, dobrze podpatrzone fotografie J. Olmy spowodowały dodatkowe, bezkarnie salwy śmiechu. Najdowcipniejsze były... Ale bym upadł! Najlepiej będzie, jak każdy sam zobaczy.

Inną atrakcją kabaretu jest przygrywający do tańca przed, w przerwie i po programie duet muzyczny pieśniarzy z Budapesztu: Lili Veekei i Imre Bodnara. Nie bardzo wiem dlaczego akurat do tańca. Uważam, że jest to muzyka tylko do słuchania i oświadczenie woli ich od Mariniego. Mamy więc, jak i w innych miastach wojewódzkich, w Rzeszowie kabaret. Ponieważ założenie zabawy zostało w pełni zrealizowane J. Krzywicki zapowiedział przygotowanie następnego programu. Powodzenia!

WINCENTY ZAWIRSKI



Artysta-plastyk — FRANCISZEK FRĄCZEK.

Rys. Jerzy Sienkiewicz

WIDNOKRAG odpowiada

OB. RYSZARD J. — LESKO: Wiersze Pana nas zainteresowały, zwłaszcza „Deszcz” i „Prowincja”. Prosimy o bliższe informacje o sobie i nowo wiersze — może coś będziemy drukować.

OB. MIROSLAW P. — PRZEMYSŁ: „Łódź” trochę staroświecka, ale niezła. Nie wykorzystamy ze względu na to, że temat nam „nie leży”. Wydaje się nam, że przy dużej kulturze literackiej

Rok Delacroix we Francji

Rok bieżący został nazwany we Francji „rokiem Delacroix” (1798 — 1863). W ten sposób Francuzi pragną uczcić pamięć wielkiego mistrza szkoły romantycznej. W marcu zostaną na nowo udostępnione publiczności prawnia i mieszkanie artysty w Paryżu, zamknięte od blisko 6 lat. Będzie tu urządzona wystawa pamiątek i przedmiotów należących do malarza. W Luwrze otwarta zostanie wystawa prac Delacroix.

Prawie czterdziestopiętnoletni mróz nie ostudził artystycznych temperamentów tych, którzy spotkali się na eliminacjach jazzowych w sali rzeszowskiego Wojewódzkiego Domu Kultury. Wprawdzie wyjątkowo niesprzyjająca aura sprawiła, iż kilka zgłoszonych zespołów i solistów odwołało swój przyjazd, to jednak eliminacje Wielkiego Konkursu Amatorskich Wykonawców Jazzowych Polski Południowej nie zostały przełożone na inny termin. Tydzień wcześniej pierwsza tego typu impreza odbyła się w Krakowie. W dniach 19 i 20 stycznia br. oprócz przedstawicieli Rzeszowszczyzny, oglądaliśmy solistów i zespoły z województw: kieleckiego, lubelskiego, krakowskiego, katowickiego, a nawet z warszawskiego.

Można dziś mówić o tym, że polski jazz zrobił — w ciągu kilku ostatnich lat — światową karierę. Rekrutując się z zazwyczaj spośród studentów amatorskich zespołki jazzowe nie tak dawno jeszcze bazywały zazwyczaj na „chałturym” przygrzywaniu do tańca na przypadkowych zabawach, a obecnie wiele z nich dostąpiło jak najbardziej zasłużonego zaszczytu występowania na koncertowej estradzie Filharmonii Narodowej. Z dnia na dzień rośnie również popularność naszego jazzu za granicą. Nawet Komedii, Wróblewskiego czy Kurylewicz nieobce są zachodnioeuropejskim konieserom. Aktualnie zresztą wylaniają się duże możliwości organizowania zagranicznych wojaży dla naszych zespołów jazzowych. Szczególnie zainteresowanie naszym jazzem przejawiają kraje demokracji ludowej. Jednocześnie jednak ze stałym wzrostem popularności i szansami koncertowymi na granicy, w kraju notuje się spadek zainteresowania klasycznymi formami jazzu zwłaszcza na rzecz muzyki big-beatowej. Krajowi „ry-

cerze silnego uderzenia” — zespół Czerwono-Czarni i jego soliści błyskawicznie zdobyli dużą popularność zwłaszcza wśród młodzieży. Zjawiskiem określanym kryptoniem „Atomowa Kaśka” zajął się nawet Olgierd Budrewicz na łamach „Przeglądu Kulturalnego”.

W tej sytuacji dobrze się stało, że krakowski Jazz-Klub postanowił zorganizować imprezę, która ma realne szanse przyczynienia się do spotęgowania zainteresowań muzyką jazzową. Ogłoszono więc wielki Konkurs Amatorskich Wykonawców Jazzowych Polski Południowej pod protektorem Wydziału Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie, a przy współudziale rzeszowskiej Rozgłośni Polskiego Radia oraz Teatru Muzycznego i Telewizji w Krakowie, a także redakcji „Echo Krakowa”.

Już pierwsze rezultaty okazały się więcej niż pozytywne. Mimo wyjątkowo niesprzyjających warunków atmosferycznych, w eliminacjach krakowskich i rzeszowskich wzięło udział prawie 90 solistów i zespołów z terenu ośmiu województw. Poziom zaprezentowanych produkcji był bardzo rozmaity. Zdarzały się zwłaszcza soliści o umiejętnościach wręcz zenujących (i dlatego uczelniej byłoby, gdyby widzieli za swoje 10 czy 15 złotych nie byli zmuszani do wysłuchiwania wszystkich „jak leci” bez żadnej selekcji), ale było też kilka przyjemnych niespodzianek i pro-

dukcyj nie różniących się niczym od tego, co oglądamy na zawodowych estradach (jeśli w ogóle można w tym wypadku stosować iluzoryczne normy profesjonalizmu). Przykładem tego może być bezspornie utalentowany piosenkarz z Rzeszowa — Jerzy Bąk oraz Leszek Zerhan z Bielska, któ-

Skąd ta dyskryminacja? Jeśli już popełniono błąd (lub niedopatrzenie?), to za późno na niezaprawne wycofywanie się! Osobiście proponowałbym wprowadzenie poprawek do regulaminu i nazwy konkursu oraz stosowanie bezwzględnie równouprawnienia w kryteriach oceny. Tylko co będzie, jeśli jurorzy

Tak się złożyło, że poziom eliminacji rzeszowskich był wyraźnie słabszy od tego, który tydzień wcześniej oglądaliśmy w Krakowie. Szczególnie anemiczna była wieczorna impreza pierwszego dnia, w której oprócz słabutkich solistów z Rzeszowa, Ulanowa i Ustianowej w powiecie Ustrzyki Dolne, wystąpili soliści i zespoły PSS z Sanoka, prezentując program sympatyczny i dość poprawny, ale nie mający nic wspólnego z jazzem.

Najlepszym zespołem rzeszowskich eliminacji był bezspornie znany z występu w programie Rozgłośni Harcerskiej Polskiego Radia warszawski zespół „Six Dixielander” z dobrym puzonistą, Zbigniewem Konopczyńskim, i autentycznym Włochem, Giovannim Ciaramellą, grającym na trąbce, a także interesujący muzycznie zespół „New Dixieland Jazz Group” z Lublina. Oprócz tych zespołów, do dalszego etapu konkursu po elimi-

Zdarzenia tygodnia

W ramach programu obchodów 100. rocznicy powstania styczniowego, w Przeworsku, Ropczycach, Łańcucie i Rzeszowie docent Uniwersytetu Warszawskiego, dr Zbigniew Cwiek, wygłosił odczyty pt. „Powstanie styczniowe w świetle najnowszych badań”. Organizatorem tych odczytów była Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie.

Staraniem WIMBP Roman Turek, autor powieści „Moja mama, ja i reszta” oraz „W służbie najjaśniejszego pana”, odbył w Rzeszowie dwa spotkania autorskie. Spotkania te cieszyły się dużym zainteresowaniem czytelników. Pisarz w sposób bardzo interesujący opowiadał o swoim warsztacie twórczym, napisywanych powieściach i dziełach wspomnień z lat swojego dzieciństwa i młodości.

Zespół estrady poetyckiej Zakładowego Domu Kultury w Sarzynie wystąpił z nową imprezą pt. „Pleśń Bałtyku”. Na program złożył się wiersz, fragmenty pracy i piosenki związane tematycznie z morzem. Członkowie estrady poetyckiej pracują pod kierunkiem instruktora — Barbary Błeczowej, Ryszarda Jawora i Feliksa Wilka.

W Rzeszowie, w sali WDK, odbyły się eliminacje wstępne Wielkiego Konkursu Zespołów i Solistów Jazzowych Polski Południowej, zorganizowanego m. in. przez krakowski Jazz-Klub, Telewizję Kraków i Rozgłośnię Polskiego Radia w Rzeszowie. W eliminacjach uczestniczyły zespoły i soliści z województw: krakowskiego, lubelskiego, kieleckiego, warszawskiego i rzeszowskiego (podobne eliminacje dla województw: katowickiego, opolskiego, wrocławskiego i miasta Krakowa odbyły się w Krakowie). Jury konkursu, w którego skład wchodził najwybitniejszy w kraju „jazzolodzy”, do następnego etapu konkursu zakwalifikowało zespoły: Ragtime Jazz-Band z Warszawy, Zespół Rozgłośni Harcerskiej z Warszawy — Six Dixielander, New Dixieland Jazz Group z Lublina, Rzeszowski Zespół Jazzowy Antoniego Kuli i Zespół Instrumentalny Jana Babuli z Rzeszowa. Z soliistów do następnego konkursu zakwalifikowali się: Barbara Staporek i Aleksandra Rogalska z Kielc, Krzysztof Potocki i Jerzy Bąk z Rzeszowa. (Patrz artykuł na tej samej stronie „Widnokręgu”).

Komunikat

Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Rzeszowie zawiadamia, że termin zakończenia konkursu na opracowanie historii miast, miasteczek i wsi naszego województwa, stosunków ekonomicznych i społecznych w nich panują-

cych został przesunięty. Prace te należy złożyć do 15 lutego bieżącego roku.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 10.VI.1963 r., podczas „Dni Rzeszowa”.

Posiłki dla Kurylewicz i „Atomowej Kaśki”?

ry wprost zdumiewa nie tylko dużym umuzykalnieniem i umiejętnością interpretatorskimi, ale i niebywałą swobodą estradową. Pozytywnym przejawem tej imprezy jest również udział (w eliminacjach krakowskich) interesującej estrady poetycko-jazzowej Klubu ZMS z Rybnika w województwie katowickim i rzadko na naszych estradach spotykanego baletu jazzowego w wykonaniu członków zespołu „Baraki”, działającego przy krakowskim Miedzyшкоlnym Ośrodku Prac Pozalekcyjnych.

W sumie, już dzisiaj można stwierdzić, że impreza ta, jako całość, przyniosła organizatorom spodziewane rezultaty, świadczące o dużym zainteresowaniu muzyką jazzową wśród młodzieży. Tym bardziej więc szkoda, że organizatorzy brakiem zdecydowania przyczynili się do pewnego spacenienia kierunkowego ideału konkursu, a to wskutek dopuszczenia do eliminacji wykonawców jazzowych, również solistów i zespoły big-beatowe przy równoczesnym założeniu braku równouprawnienia tych ostatnich z pozostałymi zespołami.

nacjach rzeszowskich zakwalifikowały się: drugi zespół warszawski „Ragtime Jazz Band” oraz obydwaj biorące udział zespoły rzeszowskie. Pierwszy z nich — „Rzeszowski Kwartet Jazzowy” grał bardzo nerwowo. Szczególną uwagę zwrócił w nim na siebie kierownik tego zespołu, pianista — Antoni Kula. Natomiast prawdopodobnie bardziej obyty z szerszym audytorium zespół jazzowy Jana Babuli nagradzany był żywiołowymi oklaskami publiczności i kilkakrotnie zmuszany do bisów. Warto tu odnotować wykonaną przez ten zespół interesującą kompozycję J. Babuli „Fuga in Es”. Z największym jednak entuzjazmem widzowie spotkali się występujący z tym zespołem rzeszowski piosenkarz — Jerzy Bąk, który, zwłaszcza w utworach big-beatowych, dysponuje umiejętnościami spotykanyymi u zawodowych wykonawców. Przy odrobinie przyślowego „lutu szczęścia” można przepowiadać temu sympatycznemu piosenkarzowi karierę estradową. Oprócz niego do następnego etapu konkursu po eliminacjach rzeszowskich zakwalifikowały się jeszcze soliści zespołu kieleckiego Zakładowego Wyrobów Metalowych SHL — Aleksandra Rogalska i Barbara Staporek oraz solista — pianista jazzowy z Rzeszowa Krzysztof Potocki.

Tak więc pewien dalszy krok do uaktywnienia masowych zainteresowań muzyką jazzową (i... big-beatową może mimo woli, ale także!) na Rzeszowszczyźnie został zrobiony. Do ugruntowania tej inicjatywy przyczyni się w przyszłości działalność organizowanego właśnie rzeszowskiego Jazz-Klubu, którego inaugurację jego organizator, Jan Stawarz, zapowiada na dzień 20 lutego...

RYSZARD STACHNIK